

Roztropność



Wielu słuchaczy dzisiejszej ewangelii będzie miało kłopot z jej rozumieniem. Cała strategia rządcy kojarzy się nam z zachowaniem członków spółek akcyjnych, rad nadzorczych, itp. A tak naprawdę chodzi w tym wszystkim o zwykłą ludzką roztropność. Co to znaczy roztropność? Mówi się, że jest to cnota rozumu praktycznego. Cnota ludzi robiących użytek z własnego rozumu. Roztropność, od: *roz-tropić*, czyli zbadać w miarę wszystkie tropy, i wybrać ten najlepszy, który okaże się najlepszym rozwiązaniem, spośród wszystkich innych. Powinna temu towarzyszyć rozwaga (ważyć korzyści i straty), rozsądek (zdrowy rozsądek!), odpowiedni namysł. Cała charakterystyka roztropności pokazuje, że rzeczywiście jest to bardziej cnota rozumu niż uczuć, emocji. Często kierowanie się samymi tylko uczuciami, emocjami, prowadzi ludzi na manowce. I nie tylko, bo często zwykły, zdrowy rozsądek (od: *roz-sądzić!*), zastępuje presja mody, bo inni też tak postępują, bo sąsiedzi też wysłali dziecko na karate, to my też, itd. Zawsze lepiej, najpierw, korzystać w własnego rozumu, to się najbardziej opłaca, nawet jeśli mamy sporo kasy. Rozum jest najwyższą walutą, najbardziej wartościową. Czasami ma większą wartość niż chwilowe, religijne uniesienia. Dzisiejsza ewangelia jest bardzo ważna. Docenia ludzi myślących, rozważnych, rozsądnych, nie płynących na fali.

[prob.]

Jezus przyszedł na świat zbawić grzeszników

Wyobraźmy sobie sytuację, że oto Pan Jezus przychodzi na ten świat, żeby zbawić grzeszników, a tu: *niespodzianka* – na ziemi nie ma ani jednego grzesznika. Wiem, to taka religijna fikcja, swoista fantastyka, która zakrawa na kpinę z prawdy Ewangelii. Choć gdzieś tam, w tle, jest coś na rzeczy, gdy uświadomimy sobie często powtarzaną prawdę, że największym sukcesem szatana jest to, że udało mu się przekonać ludzi, że nie istnieje, a więc nie istnieje również grzech. Po trosze dostrzegamy to wokół siebie, ale także w sobie. *Jezus przyszedł na świat zbawić grzeszników* – to jest sama istota Ewangelii, to jest Dobra Nowina w ścisłym tego słowa znaczeniu. W tym krótkim stwierdzeniu zawiera się cała nadzieja naszego życia, całe jego piękno, jego sens. Jednak, by tego doświadczyć, trzeba uznać swój grzech, trzeba z pokorą postawić siebie w gronie grzeszników. Inaczej zbawienie Pana Jezusa przejdzie obok nas, jak pociąg, który z całą prędkością przejedzie stację, na której nikt nie czeka. A jednak Pan Jezus jest inny – wynika z to z dzisiejszej ewangelii. On zatrzymuje się na każdej stacji, nawet tej najbardziej opuszczonej, którą jest każdy z nas. *Albowiem Syn Człowieczy przyszedł szukać i zbawić to, co zginęło*. Panie Jezu, obudź w nas pragnienie, byśmy poczuli, jak bardzo tęskni za nami Bóg Ojciec.



Trudna lekcja

Dzisiejszą ewangelię, którą można by uznać jako lekcję *na rozpoczęcie roku szkolnego*, ktoś mógłby skrytykować jako niewychowawczą, czy nawet deprawującą. Bo jak można nawoływać do nienawiści najbliższych osób: ojca, matki, żony, dzieci, braci i sióstr, nawet siebie samego. I kto to tak uczy? Chrystus!? Tak, Chrystus! Pewien nauczyciel na początku nauki powiedział do ucznia: *Jeśli w tej chwili nie obiecasz mi, że dasz z siebie wszystko, bym mógł cię nauczyć tego, po coś tu przyszedł, to lepiej odejść, byśmy nie marnowali czasu.* W słowach Pana Jezusa chodzi mniej więcej o to samo, gdy mówi: *Nie może być moim uczniem?* Więc spokojnie, Pan Jezus nigdy nikogo nie namawiał do nienawiści. Jednak chce, by kochać Go ponad wszystko, nawet bardziej niż własną mamę, tatusia, braciszka, siostrzyczkę, zoneczkę, czy mężusia. Nie ma żartów. Tu chodzi o wielkie sprawy, sprawy naprawdę życiowe. Ktoś powiedział: *Jeśli Bóg będzie na pierwszym miejscu, to wszystko będzie na swoim miejscu.* Właśnie tego próbuje nas nauczyć dzisiaj Pan Jezus. Przed nami mnóstwo zadań, zajęć, obowiązków szkolnych, zawodowych, rodzinnych, kościelnych. Czy uda nam się Pana Jezusa postawić na samym szczycie tego wszystkiego. Czy może znowu zaczniemy dzielić: 20% na szkołę, 17% na szkółkę karate, 35% na szkołę tańca, a reszta, co zostanie, dla Pana Jezusika.



...i uczyć się ode Mnie

Słowa Pana Jezusa wyjęte z dzisiejszej ewangelii, pasują do czasu, który rozpoczniemy w tym tygodniu. To przecież nie tylko czas powrotu do obowiązków szkolnych dzieci i młodych, ale to także, w związku z tym, nowe zadania dla rodziców, nauczycieli i wychowawców. Jednym słowem wszyscy znowu idziemy do szkoły – szkoły życia. W tej szkole jednak nie samo życie jest nauczycielem, ale Pan Bóg, który do tej szkoły nas posyła; dzieci, młodych, starszych, rodziców i nauczycieli. Dlatego Pan Jezus do nas mówi: *Uczcie się ode mnie*. Możemy Mu uwierzyć, możemy od Niego się uczyć. Chrystus nie jest wybitnym teoretykiem, po renomowanych uniwersytetach. Właśnie On, jak nikt inny, ma za sobą twardą i wszechstronną szkołę życia. Najpierw jest On Nauczycielem, posłanym od Boga Ojca: *Ten, który Mnie posłał, Ojciec, On Mi nakazał, co mam powiedzieć i oznajmić*. Nauka, którą Pan Jezus głosi, dotyczy przeżywania życia w bliskości Boga, by we wszystkich sytuacjach i okolicznościach Bóg był obecny i doświadczany, jako miłość i miłosierdzie. Dalej, Chrystus mówi: *Weźcie moje jarzmo na siebie i uczyć się ode Mnie*. Dobrze wiemy, co było owym jarzmem dla Pana Jezusa. Jego jarzmo jest podobne do tego naszego, codziennego. Może czasy są inne, ale sytuacje osobiste, relacje międzyludzkie, społeczne, podobne.



[prob.]

Nie upadaj na duchu

Mówimy, że ktoś podupada na zdrowiu. Wyraźnie marnieje, zmienia się jego wygląd, raczej w niekorzystną stronę. Widzimy, że ktoś niknie w oczach. Dzieje się coś złego, z jego zdrowiem, jego ciało choruje. Ale czymś



jeszcze gorszym jest gdy ktoś podupada na duchu. Człowiek odczuwający dolegliwości własnego ciała nie musi się jeszcze poddawać na duchu. Jego hart ducha, wiara, że Pan Bóg mu pomoże, nieraz przyczynia się do powolnego wyzdrowienia. Prof. A. Kępiński, uznany i wielki psychiatra, twierdził, że ludzie, którzy podupadli na duchu (zwłaszcza w warunkach obozowych), mimo że zdrowie ich ciała było jeszcze jako takie, byli jakby umarli. Byli jakby umarli za życia. Utrata woli życia, rozpacz, duchowa zapaść, sprawiały, że żyjąc jeszcze, byli jakby nieżywi. Tym ludziom nie można było już pomóc. Duch człowieka to wielka siła. Mówimy: moc, hart ducha. To wielki dar, to życiowa siła, gwarantująca przeżycie rzeczy najtrudniejszych. Duch człowieka to wielka potęga. To duch człowieka podpowiada nam, że sami z siebie nic nie możemy. Bo cała nasza moc jest od Boga, od Ducha Bożego, który jest w człowieku. To dzięki niemu potrafimy rozpoznawać i rozeznawać różne stany naszego ducha. *Wszelkie karcenie na razie nie wydaje się radosne, ale smutne.* Pan Jezus tak wiele wycierpiał, ale nie upadł na duchu.

[prob.]

Niech będą przepasane biodra wasze

Przepasane biodra i zapalone pochodnie to oznaki gotowości. Żołnierz w niewoli to żołnierz bez pasa. Człowiek udający się na spoczynek gasi światło, gasi zapalone pochodnie. Liturgia słowa mówi o potrzebie naszej



gotowości na przyjście Pana: *Wy też bądźcie gotowi, gdyż o godzinie, której się nie domyślacie, Syn Człowieczy przyjdzie.* Czy bylibyśmy lepiej przygotowani, gdybyśmy znali dokładną godzinę przyjścia Chrystusa? Nie sądzę! Pan Jezus przychodzi do nas w każdej chwili. Tak jak swego czasu przyszedł do domu Marii i Marty. Doświadczył dwóch sposobów przyjęcia, Marty i Marii. Gorzej, jeśli zostanie zlekceważony albo wręcz odrzucony. Bóg pragnie być obecny w naszym życiu. Czy my tak samo pragniemy Jego obecności? Niestety, zdarzają się takie chwile, sytuacje, gdy nie przewidujemy w nich Bożej obecności. Gdzie nie rezerwujemy dla Boga nawet najmniejszej przestrzeni. Może się to zdarzyć z powodu zwykłego zapomnienia, ale także z powodu świadomego wykluczenia Pana Boga. A jeszcze gorzej, z powodu założonego rozdzielania (Bóg w kościele, my na zabawie). To są sytuacje, w których możemy pokazać, że wszędzie potrzebujemy Boga, że wszędzie Go zapraszamy, że nigdzie nie wykluczamy Go z życia. Przepasane biodra i zapalone pochodnie, to cecha ludzi kochających Pana Jezusa.

[prob.]

Marność nad marnościami

Wszystko wokół jest takie piękne: poranny blask słońca, soczysta ulewa, zachód słońca. Wakacyjne pejzaże, widok uśmiechniętego dziecka, wszechobecna zieleń, kolory kwiatów, planowany wypad, daleko od domu, szalony świat, który kusi do wszystkiego, co istnieje.



A na to wszystko kładą się cieniem słowa Koheleta: *Marność nad marnościami... wszystko marność*. Poniekąd tak, ale przecież piękny uśmiech dziecka, to nie jest marność, cudowny widok wysokiej góry, na której ścieli się blask porannego słońca, to nie jest marność. Oczywiście, wszystko to przeminie. Nawet nie trzeba stuleci, żeby się o tym przekonać. Czasem wystarczą godziny, minuty, by doświadczyć ulotności tych zdarzeń. A mimo to, w te wszystkie zdarzenia, wpisana jest wieczność, a co najmniej Boża teraźniejszość. Bo po co spekulować, że Bóg jest tu czy tam, kiedy jest cały czas, we wszystkim co przeżywamy. *Królestwo Boże jest pośród was?* O tej prostocie Bożej bliskości i Bożej konkretności przekonywał nas w minionym tygodniu papież Franciszek. Więc z jednej strony rzeczywiście marność nad marnościami, ale w tej marności jest tak wiele autentyczności i bliskości Boga, który przecież sam nie jest marnością. Jest miłością, nadzieją, trwałością, wiecznością, jest po prostu Bogiem pośród nas. W takim świetle marność nabiera walorów wieczności.

[prob.]

Ja się Jej polecam dnia każdego

Tytułowe słowa pochodzą z najbardziej znanej pieśni ku czci św. Anny. Można powiedzieć, że są bardzo mocne, bo św. Anna zostaje tu prawie ubóstwiona: *W Tobie św. Anno mam nadzieję*. Słowa tej pieśni musiał układać ktoś bardzo rozmiłowany w naszej Patronce. Widać jednak, że to rozmiłowanie miało swój głęboki powód, sens. I nie chodziło o to, że autor nigdy się na Niej



nie zawiódł, że zawsze go tam w czymś wysłuchała. Rozmiłowanie autora tej pieśni o św. Annie wynika z tego, że jest Ona babką Pana Jezusa, Zbawiciela, i matką Matki Chrystusa. Najmocniej wychodzi to w ostatniej, chyba najważniejszej zwrotce, która mówi o czasie umierania, gdzie autor pieśni przywołuje córkę św. Anny, Maryję, i Pana Jezusa Zbawiciela. Szkoda, że tak rzadko śpiewamy tę pieśń do ostatniej zwrotki. Szkoda, że nie zawsze w tym wyborze św. Anny idziemy do końca, tzn. do Chrystusa i Matki Najświętszej. Możemy z czystym sumieniem śpiewać: *Ja sobie wybrałem...*, jeśli w naszym życiu dokonaliśmy wyboru Chrystusa, wyboru Jego Kościoła, gdy pokochaliśmy Matkę Najświętszą. Trzeba to w czasie odpustu mocno przemyśleć, trzeba to sobie znowu poukładać w sercu, w życiu. Właśnie tego oczekuje od nas Ona sama, św. Anna, która najpierw dała nam Maryję, a potem, Pana Jezusa, który nas zbawił i uświęcił.

[prob.]

Marto, troszczysz się i niepokoisz o wiele...

Jeszcze okna umyć, dokończyć remont domu, cmentarz posprzątać, oporządzić groby, kościół umyć, ciasta napiec, kaczkę oskubać. I jeszcze to, i tamto? a wszystko na odpust. By godnie przyjąć gości, by w domu było świątecznie i uroczyście, bardziej niż zwykle. Uroczystość odpustowa to wielka troska o godne przyjęcie Pana Jezusa. Można tu przyjąć drogę zapobiegliwości Marty z dzisiejszej ewangelii, aż do zadyszki, aż do ostatnich sił, aż do wyczerpania, które ostatecznie może przysłonić to najważniejsze, czyli samego Chrystusa, najważniejszego gościa tych świąt. I można przyjąć drogę Marii, która uległa totalnej beztrosce, by całą swoją uwagę, czas, skierować na osobę Pana Jezusa. Chrystus pochwalił Marię, która wybrała najlepszą część. Pewnie sztuką jest połączenie jednej i drugiej drogi. Choć my, ludzie, jakby łatwiej idziemy drogą Marty, poddajemy się swoistej herezji czynu, w najlepszej wierze, i często rozmijamy się z Tym najważniejszym. Potem nie mamy już siły na wieczorną modlitwę, na dobrą spowiedź odpustową, na to, co bezpośrednio dotyczy Pana Jezusa. A może tym razem uda nam się połączyć jedno i drugie, połączyć w sobie Martę i Marię, by zwyciężyła w nas ta częśćka najlepsza, tzn. bezgraniczna miłość do Pana Jezusa, postawiona na pierwszym miejscu.



[prob.]

Kto jest moim bliźnim?

Zamiast rozległej wyliczanki wszystkich rodzajów bliźnich (mąż, żona, dzieci, teściowa, chory, sąsiad, prezes? a nawet wróg i nieprzyjaciel), zatrzymajmy się dzisiaj na tym najbliższym nam bliźnim, którym jesteśmy my sami. Rzadko o tym myślimy. Tymczasem ja sam, moja własna osoba, moje życie, jest tym pierwszym bliźnim, którego trzeba pokochać. I wcale nie chodzi o namawianie do egoizmu czy egocentryzmu. Nie bez powodu największe przykazanie miłości za kryterium miłowania bliźniego swego stawia miłość siebie samego, *...jak siebie samego*. Alkoholik nie kocha siebie, samobójca, który targa się na swoje życie, już nikomu nic nie da. Marnuje wszystko, co otrzymał od Boga. Już nikogo nie pokocha, niczym nie obdarzy, bo nie pokochał daru swego własnego istnienia, życia, talentów, jakie otrzymał. Człowiek, który we właściwy sposób nie pokochał swego życia, będzie miał trudności z pokochaniem innych, bliźnich. Jesteśmy wielkim darem od Boga, dla innych, ale najpierw dla siebie samych. Nasze własne życie jest wielkim, pięknym zadaniem, które krok po kroku, codziennie realizujemy: w małżeństwie, w kapłaństwie, w życiu samotnym. Nie mogę nie kochać swego życia, skoro sam Bóg tak bardzo mnie ukochał, mimo moich słabości i uchybień. Świętość to życie przyjęte i spełnione w Bogu. I Jemu oddane, w całej pełni.

[prob.]